Ludmiła MARJAŃSKA

O WIELKOŚCI ŚWIATA

Świat jest przecież ogromny i coraz bardziej dostępny, wszystko zależy od nas: czy nauczymy się obcego języka, czy będziemy dość odważni, żeby podjąć ryzyko, czy zechcemy zerwać dotychczasowe więzi i zmienić otoczenie, sposób życia, siebie.

Rozmowa ze znajomą Amerykanką na temat przemian, jakie zachodzą w naszym kraju. Nancy Burke jest obywatelką kanadyjską, urodzoną w Stanach; przez kilka lat przebywała w Hiszpanii, a od dłuższego czasu mieszka w Polsce i na Uniwersytecie Warszawskim prowadzi wykłady z literatury amerykańskiej (w tym także z literatury kanadyjskiej). Dlaczego wybrała Polskę? Przyjechała tu w latach osiemdziesiątych, kiedy poziom naszego życia odbiegał znacznie od standardów amerykańskich, ale dla niej nie to było ważne. Okres był burzliwy, trwały podskórne napięcia, coś się zaczynało, nadchodził czas przełomu i tak zwanej (brzydko, choć zapewne naukowo) transformacji. Nie była to spokojna, „pachnąca żywicą" Kanada. Trudno powiedzieć, co ostatecznie spowodowało, że Nancy Burke po pierwszym, krótkim pobycie wróciła do Polski na dłużej.

Nasza rozmowa dotyczyła zasadniczej różnicy między społeczeństwem amerykańskim a polskim. Nasze społeczeństwo było zasiedziałe, nieruchliwe, przywiązane do korzeni. Silne więzy rodzinne umacniał całymi latami nie tylko Kościół katolicki, ale także warunki, w których wielopokoleniowe rodziny zamieszkiwały wspólnie (nie zawsze z konieczności). Naturalny był szacunek dla ludzi starych, a więc doświadczonych: te babcie w czepeczkach, siedzące w fotelu i podające dłoń do pocałunku, dziadkowie przekazujący wnukom rodzinne tradycje i zanudzający ich opowieściami o kolejnych powstaniach! Ukształtowaną w tych warunkach niechęć do ruszania się z miejsca, zasiedziałość, przywiązanie do „małych ojczyzn" pogłębiły po drugiej wojnie światowej nie tylko materialne trudności i ogólne zubożenie społeczeństwa, ale przede wszystkim uwarunkowania polityczne związane z ograniczeniem wyjazdów za granicę, z ogromnymi utrudnieniami w uzyskaniu paszportu. No i wrastaliśmy w tę ziemię, zapuszczaliśmy korzenie, choć w każdym pokoleniu część narodu zmuszona była do politycznej czy zarobkowej emigracji.

Ameryka – ziemia obiecana dla wielu emigrantów, kontynent wabiący rozległą przestrzenią i możliwościami przyciągał także i nas. Tam mieszkało

wiele narodowości, jak w tyglu mieszały się rasy i języki, i Polacy mogli się wtopić w tę niejednolitą masę, zapomnieć o swoim niewdzięcznym kraju. Korzenie stawały się z wolna cienką nitką, więzi rodzinne traciły znaczenie, zwyciężała złudna łatwość bytowania.

Moja rozmówczyni potwierdziła to: amerykańskie społeczeństwo jest „mobilne", łatwość poruszania się po świecie to pokusa, której trudno się oprzeć. Dlaczego nie wybrać lepszego miejsca, gdzie można łatwiej się urządzić, znaleźć lepszą pracę, poprawić sobie byt? Kiedy trudno żyć w Nowym Jorku, wyjeżdża się na dwa czy trzy lata do Wenezueli, potem można wrócić i próbować jakoś się urządzić, chociaż coraz trudniej znaleźć odpowiednią pracę (na jedno miejsce wykładowcy w szkole wyższej jest kilkuset kandydatów), spróbujemy więc w Trynidadzie – to podobno piękna wyspa. Świat się zmienia, za rok zdecydujemy, co dalej.

Młody Amerykanin po skończeniu studiów na slawistyce pracuje w Rosji, na przykład w Perm (dla nas legendarnym niegdyś miejscu zesłań), tam żeni się z pełną ciepła Rosjanką, wyjeżdżają do Moskwy, gdzie cudzoziemiec znający rosyjski może dostać pracę w zagranicznej firmie, a więc zawirowania polityczne i trudności, z którymi borykają się inni, nie dotykają młodej pary.

A że cierpią na tym rodzinne uczucia, że rozpadają się rodziny? „Mam bardzo dobrych synów" – powiedziała mi kilka lat temu Amerykanka polskiego pochodzenia – „zawsze telefonują do mnie na Boże Narodzenie". Każdy z nich mieszka w innej części Stanów, a jeden bodaj przeniósł się właśnie do Australii. Trudno mieć do nich pretensje. Dlaczego mieliby gromadzić się w ciasnym mieszkaniu matki w jakiekolwiek święto? Telefon, komputer, fax, Internet – wszystkie wspaniałe, nowoczesne wynalazki mają służyć szybkiej komunikacji, a nie rozwojowi rodzinnych uczuć.

Tak, świat się zmienia – stwierdzamy zgodnie z moją rozmówczynią. Także w naszym kraju zachodzą zmiany. Jeden z moich znajomych studentów Politechniki dostał roczne stypendium i wyjechał do Anglii, drugi – tuż przed magisterium z zarządzania na Uniwersytecie – dostał już świetnie płatną posadę w firmie zagranicznej, których coraz więcej jest w Warszawie, i z pomocą Internetu porozumiewa się z Nowym Jorkiem, Singapurem i z innymi odległymi miejscami na świecie. Wprawdzie żaden z nich nie ma jeszcze własnego mieszkania, ale jest nadzieja, że dziadkowie w końcu zejdą z tego świata (średnia wieku jest stanowczo zbyt wysoka), zresztą można już i u nas zarobić pieniądze i wynająć mieszkanie, a z czasem wybudować sobie dom. Pytanie tylko, czy ci młodzi ludzie, którzy nie mają ochoty słuchać opowiadań o wojnie, o powstaniu warszawskim ani nawet o bohaterskim zrywie „Solidarności", będą przywiązani do miejsca urodzenia, czy zechcą wracać do Warszawy, Płocka, Wrocławia czy Makowa Podhalańskiego chociaż na Boże Narodzenie?

Czy nie skusi ich – jeśli nie Ameryka Północna, która z wolna ogranicza liczbę imigrantów – to egzotyczna Afryka lub wspaniała, stabilna Szwecja?

Świat jest przecież ogromny i coraz bardziej dostępny, wszystko zależy od nas: czy nauczymy się obcego języka, czy będziemy dość odważni, żeby podjąć ryzyko, czy zechcemy zerwać dotychczasowe więzi i zmienić otoczenie, sposób życia, siebie.

Patrzę na swoją cichą do niedawna ulicę, którą teraz sunie samochód za samochodem – nie żadne tam Syrenki, Wartburgi czy Polonezy, ale Fordy, Toyoty, Hyundaie, Mitsubishi, coraz bardziej obco brzmiące firmy i modele – i myślę, że to przelatują marzenia młodych Polaków, konkretne, lśniące, lakierowane na różne kolory. Czasem tylko na skrzyżowaniu zderzają się z hukiem i rozbijają, ale zaraz na uprzątniętej ulicy pojawiają się nowe auta, a w nich dzielni kierowcy, pełni wiary we własne umiejętności i możliwości. I jest to chyba naturalne. Oby tylko zdarzało się im jak najmniej życiowych katastrof. Oby nie natrafiali na trudne skrzyżowania, nieoznakowane ścieżki i na obcych, nieodpowiedzialnych kierowców, którzy zatarasują im drogę.